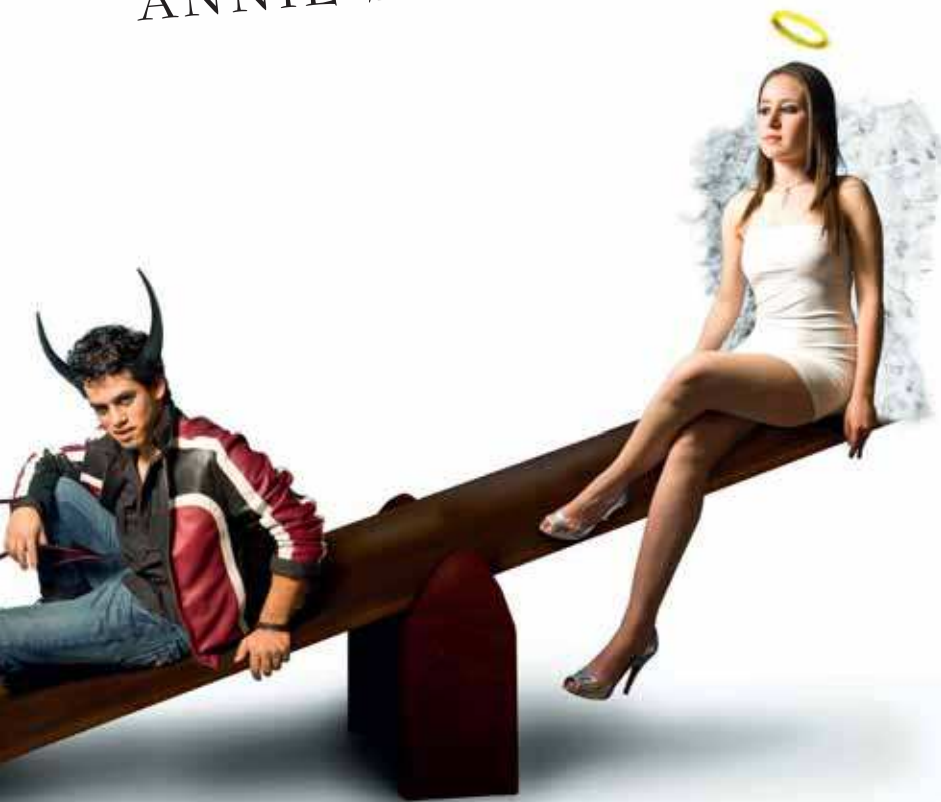


# Zemsta aniołów

ANNIE SANDERS



Świat Książki

Zemsta  
aniołów

# Zemsta aniołów

ANNIE SANDERS

Z angielskiego przełożyła  
MAŁGORZATA FABIANOWSKA



  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
GETTING MAD, GETTING EVEN

Redaktor prowadzący  
*Monika Koch*

Redakcja  
*Edyta Domańska*

Redakcja techniczna  
*Małgorzata Juźwik*

Korekta  
*Maciej Korbański*

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych  
czy martwych – jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © Wordright Ltd 2009  
All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.,  
Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego.  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,  
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie  
osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,  
upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych  
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-786 Warszawa,  
ul. Rosoła 10

ISBN 978-83-247-2580-9  
Nr 45084

*Dedykuję tę książkę nieznannej kobiecie,  
która, wyprowadzając się od niewiernego męża,  
zostawiła krewetki ukryte w karniszach. Brawo dla tej pani!*

Zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno.

Mario Puzo, *Ojciec chrzestny*

## Rozdział 1

– Tak, absolutnie rozumiem, pani Cooper-Adams. Musimy załatwić sprawę perfekcyjnie. Naturalnie, potrzebna będzie próbka do analizy, abyśmy mogły wybrać najlepszą opcję. – Georgie wyjęła ołówek z dzbanuszka stojącego na biurku, przycisnęła słuchawkę policzkiem do ramienia i zaczęła robić notatki. Blade jesienne słońce wlewało się przez okna i pokój jaśniał jak wnętrze jubilerskiej szkatułki.

– ...to kwestia życia i śmierci, rozumie pani? – głos w słuchawce był pełen desperacji i napięcia.

– Ależ rozumiem – łagodziła Georgie. – Sprawę należy rozegrać delikatnie, to zrozumiałe, ale nasza agencja niejednokrotnie miała już do czynienia z... takimi nagłymi wypadkami. Dysponujemy najlepszymi specjalistami, co znaczy również, że mają dalekie terminy, ale ponieważ pani sprawa jest bardzo pilna, postaram się załatwić wizytę dla André na dzisiaj.

Westchnienie ulgi z drugiej strony linii było równie cenną rekompensatą jak spodziewane wysokie honorarium.

– Przyśle pani zaraz kogoś po niego? – upewniła się pani C-A. – Chciałabym być obecna, kiedy będziecie go zabierać. Czy będzie musiał zostać na noc?

Georgie usiłowała zachować powagę.

– Może na wszelki wypadek spakuje mu pani niezbędne rzeczy? – zaproponowała. – Ktoś przyjedzie do pani za... –

szybko zerknęła na harmonogram zadań Flick na ściennej tablicy i zobaczyła, że wkrótce powinna zakończyć spotkanie w Balham. Jeśli zatem skieruje ją do Chelsea, a następnym klientom każe chwilę poczekać, dadzą radę. – ...czterdzieści minut – dokończyła. – Czy André jadł rano śniadanie? Nie? Nic nie szkodzi. A teraz, jeśli pani pozwoli, sprawdzimy dane.

Zerknęła w notatki, które zrobiła w trakcie, i zaczęła wpisywać je do komputera.

– Więc André ma teraz cztery i pół roku. Jak ten czas płynie! Czy w tej chwili ma swój naturalny kolor? Świetnie. Zatem to rasowy bichon frisé i zależy pani, aby jego maść pasowała do dodatków do pani kostiumu od Armaniego. – Georgie pokręciła głową. Czy do tego były jej potrzebne lata spędzone na studiach? Przygryzła usta, powstrzymując śmiech. – Zatem, jeśli mogłaby pani zostawić nam swoje pantofle i torebkę, postaramy się dopasować wszystko jak najlepiej. Tak? Świetnie. Będziemy informowały panią na bieżąco o postępach pracy. Piesek będzie gotowy na pani imprezę.

Zapewniwszy jeszcze raz panią C-A o wszystkim, Georgie z westchnieniem odłożyła słuchawkę, zmęczonym gestem przecierając oczy. Była dopiero jedenasta, a już zdążyła przyjąć skargę na opiekunkę do dziecka, która używała rodzinnego komputera do wchodzenia na Bebo, i alarmowy telefon w sprawie wody, która przelała się w wannie sąsiada i ciekła z sufitu. Wcisnęła szybkie wybieranie numeru Flick. Znienacka przy jej łokciu zmaterializowały się filiżanka kawy i wyborne niemieckie ciasteczka cynamonowe na talerzyku. Kolejny raz jej wierna sekretarka Joanna domyśliła się, czego potrzebuje. Georgie podziękowała jej bezgłośnie i z wdzięcznością upiła łyk, czekając, aż Flick odbierze.

Flick była zajęta jedną z ich stałych klientek Genevieve McKinnon, rozpieszczoną żoną pyskatego i bardzo zamożnego prawnika z City, która chciała stworzyć przed mężem iluzję, że jest boginią domowego ogniska – co miało maskować jej zakupoliczne rajdy po sklepach i długie lunche z przyjaciółkami

w czasie, gdy bliźniaki były w szkole. Była też jedną z pierwszych klientek Domowych Aniołów. Przez ostatnie cztery lata, od czasu kiedy Flick i Georgie założyły agencję, niezależnie od tego, czy McKinnonowie spędzali letnie wakacje w St. Barts, czy szusowali na nartach w Verbier, wpadały na zmianę do ich domu dwa razy w tygodniu, aby wypełnić lodówkę domowymi daniami, podlać kwiaty i ustawić kosze z wyprasowanym, pachnącym lawendą praniem. Jak dotąd małżonek Genevieve wydawał się całkiem zadowolony, trwając w wierze, że jego towarzyszka życia poświęca całe dni, aby stworzyć mu idealny dom. On był szczęśliwy. Ona była szczęśliwa. A najszczęśliwsze były Flick i Georgie, regularnie zasilane hojnymi czekami.

– No, co tam? – rzuciła Flick ze swoją charakterystyczną żywiołowością. Georgie mogła ją sobie wyobrazić – wysoką i energiczną, w wytartych dżinsach i T-shircie, jak uwija się w laboratoryjnej kuchni pani McKinnon, wkładając dania z cateringu do ogromnej amerykańskiej lodówki.

Pucowanie kuchni odbywało się tylko w poniedziałki, gdyż Pan Bankier z City lubił, kiedy kochana żonka szykowała mu niedzielne śniadania, więc wszystko było zapaprane. Na szczęście smażenie kiełbasek mieściło się w ramach jej kulinarnych możliwości. W pozostałych wypadkach zadowalała się kuchenką mikrofalową.

– No cześć, jak ci idzie?

Wyglądało na to, że Flick taszczy właśnie do marmurowych łazienek kosz ze starannie poskładanymi śnieżnobiałymi ręcznikami – to zajęcie Georgie sama wykonywała wiele razy. Popadły wręcz w rutynę przeplatania dni w biurze tymi w terenie i obie znały wymagania swoich klientek.

– Dobrze, już prawie kończę. Muszę jeszcze ubłocić jej ogrodowe chodaki i zostawić je przy tylnym wyjściu. Specjaliści od ogrodu już odjechali. Klomby wyglądają fantastycznie. Warto z nimi współpracować. Wciągnij firmę do kartoteki, dobra?

– Dobra. – Georgie zrobiła kolorowym pisakiem notkę w terminarzu. – Mała zmiana planów. Zgłosiła się Cooper-Adams.

Usłyszała jęk, gdy Flick przypomniała sobie, jak ostatnio farbowały sierść André. – Co tym razem? Robaki i pchły? Mam rozumieć, że jak zwykle pilne?

– No jasne. Zostawi nam swoje kreacje. Masz próbki farby?

– Nie. Są w szufladzie w biurku. Mogę zadzwonić później? Mam jeszcze jedną robótkę.

– Nie bardzo. Powinnaś być tutaj... – Georgie zerknęła na zegarek. – Za pół godziny.

– O kurczę! – westchnęła Flick. – Jak ja to wszystko upchnę? Czekaj... mam próbki, które Kelly Hoppen przygotowała na dziś po południu z okazji malowania pokoju gościnnego Selbych. Wybiorę z nich coś dla niego.

– Fantastycznie. Mam umówić go jak zawsze?

– W Doggie Style? Dziwna nazwa. Osobiście nie lubię robić tego „na pieska”. Co powiedziałyby pani C-A, gdyby wiedziała? Georgie roześmiała się.

– To jeden z sekretów naszego sukcesu.

– Jak również to, że nie mamy żadnych zahamowań. Poczeka chwilę, bo włączam alarm.

Georgie usłyszała szybką sekwencję odgłosów wpisywanego kodu, a potem nieprzyjemny, piszczący dźwięk.

– No już – sapnęła Flick. – Zadzwonię do ciebie, gdyby były jakieś problemy, ale myślę, że zdążę, jeśli zrezygnuję z obiadu.

– Flick, jesteś wielka!

– Żebyś wiedziała!

– Posłuchaj, a może byśmy tak poszły na kolację w piątek? – zagadnęła Georgie.

Usłyszała w słuchawce, jak Flick odpala dyskretnie mrużący silnik dobrze wyregulowanej terenówki 4x4, idealnej na niepewne ulice południowo-zachodniego Londynu. Odpowiedź wskazywała, że pomysł niósł w sobie ryzyko.

– Jeśli to tylko kolacja, chętnie. Ale jeśli ma to być kolejna próba sparowania mnie z jakimś bubkiem, to zapomnij o tym. Przy ostatnim omal nie musiałam zmienić numeru komórki, taki był namolny!

– Okej, okej, rozumiem – zapewniła Georgie. – Tylko my dwie, jak położę Libby do łóżka.

– W takim razie cieszę się. Ósma?

Georgie wyrwała kolejną samoprzylepną karteczkę i coś na niej zapisała.

– Super! Jesteśmy umówione. Do zobaczenia.

Przykleiła karteczkę w kalendarzyku. Notka głosiła: „Powiedzieć Edowi, żeby odwołał Simona”.

Mały André został posłany do farbowania i próbki dostarczono już na Ellerton Road. Flick zaparkowała pod numerem trzydziestym czwartym. To jedno było dobre z panią Halliman – zawsze znajdowała wolne miejsce przed jej domem. Właściwie nic dziwnego – komu chciałoby się parkować w tej nudnej części południowego Londynu, na ulicy z ciągiem szarych szeregowych domów, których monotonię przerywały od czasu do czasu dziwaczne budynki o płaskich dachach uzupełniające ubytki pochodzące jeszcze z czasów wojennych bombardowań. Naprzeciwko rozciągał się zapuszczony zielony teren, zwany parkiem, jak wynikało z informacji na pokrytej bazgrołami tablicy – choć w rzeczywistości służył za psi wychodek. Parę rachitycznych drzew wyrastało z suchej, pomiętej trawy, dawno niekoszonej i usianej śmieciami.

Flick z westchnieniem wygramoliła się z samochodu, otulając się ciasniej płaszczem przed porywami zimnego wiatru. Odwróciła się i sięgnęła po torbę leżącą na siedzeniu. Pani Halliman była jedną z pierwszych klientek agencji. Cztery lata temu odpowiedziała na ogłoszenie o świadczeniu wszelakich usług, jakie zamieściły w lokalnej gazecie, i już wtedy powinny były ją sflawic ostrzeżone jej zapaszkami, lecz zbyt mało zależało im na klientkach. Dwie z ekip sprzątających, które zatrudnia-

ły, twardo odmówiły wiosennych porządków w jej domu, więc Flick i Georgie, chcąc nie chcąc, musiały same ruszyć do akcji z zatyczkami w nosach, jak komandosi ze SWAT.

Na szczęście tylko raz. Teraz nie miały tu wiele roboty – co jakiś czas trzeba było przysyłać hydraulika i raz w roku karmić kota, kiedy pani Halliman wyjeżdżała na swoją tradycyjną wycieczkę autokarową do Hiszpanii. Lista ich klientek wciąż zdumiewała Flick. Był tam cały społeczny przekrój – od zamężnych bab z osobistymi psychoanalitykami i indywidualnymi tablicami rejestracyjnymi po takie właśnie panie H., które egzystowały w tej części miasta od zawsze i teraz patrzyły, jak nowa forsa nadyma rynek nieruchomości.

Flick wyjęła z kieszeni klucz – z numerem, nigdy z nazwiskiem – i starannie przekręciła go w zamku. Aż podskoczyła, kiedy rudy kocur pani Halliman otarł się jej o nogę, miauczając kokieteryjnie.

– Spadaj, Scoot. – Flick energicznie potrząsnęła nogą. – Ty pchlarzu. – Kot prychnął urażony, ale się odsunął.

Flick lubiła koty, jednak ten dom był dla niej prawdziwym wyzwaniem. Smród sprawiał, że za każdym razem dławiło ją w gardle, kiedy tu wchodziła. Mieszanina woni kociej uryny, jedzenia i zaduchu. Jak normalny człowiek może tolerować coś takiego? Czy ta kobieta nie miała węchu?

– Gdzie jest twoja śmierdząca karma, ty rudy skunksie? – mruknęła do kocura, który miauczał teraz głośno i namolnie, idąc przed nią wąskim korytarzem, zawalonym starymi gazetami i książkami. Potknąwszy się o koło roweru, okrytego jakąś szmatą, Flick wpadła z impetem do kuchni. Kocia miska trącona nogą z łomotem wylądowała pod zlewem. Ten był zawalony brudnymi naczyniami, a inne piętrzyły się na suszarce. Można było dojść do wniosku, że pani Halliman zmarła, a nie wyjechała na wakacje.

– O Boże! Jesteś mi winna jeden cholerny dyżur, Georgie. – Flick schyliła się i wyciągnęła miskę spod zlewu. – Następnym razem ty się tutaj pomęczysz.

Na szczęście kocia karma należała do suchych – otwarcie puszki z nieapetycznym, dziwnie pachnącym mięsem w tej zapuszczonej kuchni byłoby trudne do zniesienia. Flick nabrała powietrza i wytrząsnęła porcję karmy do miseczki. Kot jednym susem przypadł do jadła, zanim jeszcze zdążyła odstawić pudełko.

– Nawet nie podziękowałaś, niewdzięczniku. Dobra, teraz gryzoń.

Flick, powstrzymując obrzydzenie, otworzyła drzwi od kuchennej pakamery. Brudna pościel i ręczniki wylewały się z kosza, wypchane torby z czymś, czego wołała się nawet nie domyślać, zwisały z sufitu, a półki nad pordezwiąła lodówką wypełniały rzędy słoików z mętną zawartością. Na nich stała niewielka klatka, a na niej leżała paczka kłamek do bielizny.

– Chodź. – Flick zajrzała do środka, usiłując wypatrzeć chomika w jego domku, ale zobaczyła tylko strzępki gazet. Żadnego ruchu. Zerknąwszy kontrolnie na kota, który nadal był zajęty jedzeniem, chwyciła klatkę i delikatnie nią potrząsnęła. Znów nic. Ani śladu zwierzątka.

Flick zastanowiła się. Przecież chomik nie mógł tak po prostu zniknąć. Kocur, wreszcie najedzony, podszedł i owinał się wokół jej kostki.

– Gdzie on jest? – zapytała, słysząc w swoim głosie nutę z troskania i zarazem czując się śmiesznie, gdy tak z przejściem zaglądała do klatki.

Nagle zobaczyła, że drzwiczki są otwarte.

– O, jasna cholera! – zaklęła pod nosem i obróciła klatkę, jakby to miało coś pomóc. Coraz bardziej zdenerwowana zaczęła przestawiać pudła, odkopywać na bok buty i kalosze i rozgarniać stertę okryć, które przypominały raczej szmaty pokryte kurzem i zeszywniałe od długiego leżenia na podłodze. Odkładała na bok jedno po drugim, sama nie wiedząc, co jest gorsze – perspektywa grzebania w tym syfie czy polowania na chomika, jeśliby się objawił.

Oczywiście nie znalazła tam nic – ani żywego, ani martwego.

Przejrzawszy półkę zastawioną puszkami farb i doniczkami, szybko przeniosła poszukiwania do kuchni. Zajrzała do pudełka kornfleksów i pod kubek stojący w rogu i odwrócony do góry nogami.

Kot podszedł do niej, oblizując się ze smakiem.

– Jeszcze ciebie tu brakowało – burknęła. Desperackim gestem sięgnęła do kieszeni po komórkę i wcisnęła szybkie wybieranie.

– Domowe Anioły – odpowiedziała żywo Joanna.

Flick przełknęła ślinę.

– Houston, mamy problem.

Po półgodzinie i uspokajającym oddzwonieniu Joanny Flick się wyluzowała. Najwidoczniej chomika nie było w domu, żywego czy martwego. Uznawszy, że stworzonko o tak krótkich nóżkach nie byłoby raczej zdolne wejść po schodach, ograniczyła pole poszukiwań do parteru, co wyszło na dobre, gdyż totalny bałagan, jaki objawił się jej oczom po otwarciu drzwi do salonu, przekonał ją ostatecznie, że pani Halliman powinna zostać usunięta z listy klientów w chwili, kiedy postawi z powrotem nogę na brytyjskiej ziemi.

– Pewnie były tam krzesła, ale znikły pod masą gratów – perorowała po powrocie do biura. Zdjęła marynarkę i włożyła ją do reklamówki. – Nadaje się tylko do prania. A i tak pewnie zostanie smród. – Powąchała swoje dłonie. – Może wyszorować je flashem do dywanów?

Georgie uśmiechnęła się.

– Niezły pomysł.

– Ale co z chomikiem? – zapytała Joanna zatroskanym głosem.

– Nie mam pojęcia, ale ja już tam nie wracam – oświadczyła Flick, zgarniając pocztę z biurka. – Nie wiem, do licha, co mamy robić. – Ściągnęła pantofle i poruszyła palcami. – Pani H. dostanie szału.

Zadzwoił telefon i Georgie sięgnęła po słuchawkę.

– Chyba wiem dlaczego... – powiedziała, odbierając. – Domowe Anioły, słucham?

– Miło to słyszeć – burknęła Flick. Miała totalnie dosyć. Już sam poranny absurd z farbowaniem psa był w stanie ją zniesmaczyć, a do tego jeszcze źle spała tej nocy. Cały dzisiejszy dzień był jedną wielką katastrofą zapoczątkowaną rano przez Johna, który znów odwołał spotkanie, e-mailem.

Westchnęła i poczłapała w kierunku czajnika. Biuro, zaadaptowany lokal narożnego sklepiku, wydawało im się pałacem, kiedy przeprowadziły się do niego z pokoiku u Georgie, ale teraz im trzem zaczęło być tu ciasno i poza tym czuła się jak łagodny wielkolud. Pewnie tylko ona. Joanna była korpulentna, lecz niska, a Georgie wyglądała jak przecinek. Patrząc na jej drobną postać z burzą ciemnych kędziorów, kręcącą się po biurze, Flick zadawała sobie pytanie, czemu z zasady dobiera sobie przyjaciółki, przy których czuje się jak amazonka. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Czy nie przesada z tą czerwoną szminką? Czytała gdzieś, że mocno podkreślone oczy i czerwone wargi pasują blondynkom, ale może przegięła? Nigdy nie miała pewności co do własnego wyglądu. Kolejna konsekwencja braku stałego faceta – gryziesz się takimi właśnie rzeczami.

Wyposażona w filiżankę parującej kawy usiadła przed komputerem i otworzyła pocztę. Odpisała Johnowi, że nie szkodzi, i tak nic by z tego nie było, bo jest bardzo zajęta. Czy pisząc, łatwiej jest kłamać? W każdym razie ocaliła twarz. Obeszło się bez zawiedzionego tonu, którego nie potrafiłaby ukryć, gdyby zadzwoniła. Wszystkie trzy pracowały pilnie aż do zmroku, przyjmując zgłoszenia, wysyłając faktury i przeganiając akwizytorów, aż wreszcie Joanna wstała, włożyła płaszcz i ogłosiła koniec urzędowania na dzisiaj.

– Do jutra – powiedziała z roztargnieniem Georgie, wyłączając komputer i zerkając na zegarek. – Chyba też będę się zmywać. Libby jest u koleżanki i muszę zrobić zakupy, za-